

# Andrzej Bąkowski

---

## Stanisława Podemskiego "Pitaval PRL-u" : wędrówka po drogach i bezdrożach prawnych Polski Ludowej

---

Palestra 51/7-8(583-584), 163-168

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



*Andrzej Bąkowski*

## Stanisława Podemskiego „Pitaval PRL-u”

### Wędrowka po drogach i bezdrożach prawnych Polski Ludowej

Stanisław Podemski, prawnik z wykształcenia, przez jakiś czas nawet adwokat, znany dziennikarz prasowy i telewizyjny, publicysta prawny przez parę dziesiątek lat piszący w różnych gazetach i tygodnikach, np. w „Słowie Powszechnym”, „Sztandarze Młodych”, „Kulturze” warszawskiej, „Gazecie Sądowej”, ostatnio w „Gazecie Wyborczej”, opublikował w „Iskrach” (Warszawa 2006) duży zbiór (wybór?) własnych felietonów. W nich wiele wątków politycznych, socjologicznych, psychologicznych, wiążących się ściśle z działalnością sądów Polski Ludowej.

Felietony (siedemdziesiąt) ukazywały się w ostatnich kilku latach na łamach „Gazety Wyborczej”. Jest to lektura, rzekłbym, osobiście wysmakowana, napisana piórem profesjonalisty, jędrnym językiem, czasami wpadającym w żargon sądowy, miły zawsze i swojski dla oka i ucha prawnika sądowego. Ale, jak sądzę, również czytelnika nastawionego na odbiór egzotyki socjopolitycznej, przepuszczonej przez filtr sądowy przedziwnego tworu, zwanego ze względu na ustrój nim rządzący PRL-em.

Na wielu salach sądowych odbiła się w tym jakże nieznośnie długim czasie, jak w lustrze, bolesna trauma licznych polskich losów, tłamszonych przez reżim. Ile zapowiadających się dobrze życiorysów, karier ledwie zaczętych, zniszczono bezpowrotnie.

Inna była trauma lat nieskrywanego terroru stalinowskiego, wykonywanego, niestety, zazwyczaj polskimi rękami pod nadzorem „specjalistów” z NKWD w latach 1944–1956. Jeszcze inna w latach gomułkowskiej pozorowanej „odwilży” i siermiężnego socjalizmu 1956–1970. Zupełnie inna w czasie „liberalizmu” gierkowskiego

(Ursus, Radom), odmienne też doświadczenia podczas brutalnej rozprawy z własnym społeczeństwem zwanej „wojną polsko-jaruzelską” i w okresie 1981–1989.

Taką właśnie typologię czasową dla swoich felietonów zastosował nasz autor. Reżim przybierał różne odcienie i barwy polityczne, różne natężenia represji, bo o to głównie chodziło w zależności od etapu, w jakim znajdowała się „władza ludowa”, ale w swej istocie zawsze w końcu przynosił kolejne fale rozstrzygnięć sądowych ochraniających i utrwalających tę władzę.

Podemski słusznie nazywa *sui generis* ludobójstwem wyrzucenie ziemian z ich własności, wyrzucenie zgoła już bezprawne, sprzeczne z reformą rolną, tysięcy ludzi z ich siedzib, dworków, pałacików, skazanie na poniewierkę i los tułaczy w imię walki klasowej. Przy okazji zniszczono znaczny obszar polskiej kultury. Katastrofalną w skutkach „bitwę o handel” z lat 1946–1948, zagładę drobnego kupiectwa nazwano zbrodnią gospodarczą. Państwo z jego ustrojem wypichconym w tyglu sowieckim, generującym monokulturę polityczną sowieckiego marksizmu, nędzę ekonomiczną, brak żywności, drakońskie kary za żarty antyustrojowe (tzw. szeptana propaganda) stworzyło ponury, ale zarazem groteskowy system bezprawia.

Cały aparat przymusu, Urzędy Bezpieczeństwa, Milicja, Wojsko (osławiony Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy), komisje specjalne, częstokroć właśnie sądy, wszystko to zostało rzucone na „front walki” o przekształcenie społeczeństwa w jedną socjalistyczną rodzinę. Polska Ludowa lubowała się w terminologii militarystycznej. A jak to wyglądało w praktyce? Właśnie o tym traktują felietony Podemskiego.

Pamiętam ze swojej praktyki początkującego aplikanta adwokackiego sprawę przed Sądem Rejonowym, chyba ówczesnie zwanym jeszcze Sądem Powiatowym w podwarszawskiej miejscowości. Bronilem robotnika z państwowej Fabryki Urządzeń Dźwigowych. Wówczas dopiero co zaczynały się procesy z tzw. dekretów marcowych, „dużego” i „małego” o ochronie mienia państwowego (1953 r.). Robotnik wyniósł z zakładu rurę blaszaną o długości jednego metra i wartości, jak obliczono, 4 zł. Rura potrzebna była memu klientowi do skonstruowania w jego mieszkaniu „kozy”, piecyka domowego (kto to dziś pamięta, co to była „koza”?). Kar z dekretu w zasadzie nie zawieszano. Robotnik kłął się na wszystkie świętości, że wzięł rurę dla dzieci, że marży, że nie można było rury nabyć w żadnym sklepie. Ja dodałem, że rura to złom, odpad fabryczny, że te 4 zł to fikcja, że cena wzięta „z sufitu”, a zresztą zgodnie z doktryną socjalistyczną czy współwłaściciel fabryki, jakim był ów robotnik, mógł ukraść część swojej współwłasności? Nic nie pomogło. Robotnik z FUD-u poszedł siedzieć na kilka miesięcy. Ja zostałem w adwokaturze na dalsze 53 lata, a mec. Podemski z takich to (i innych zapewne) powodów uznał, że adwokackiej profesji nie da się wykonywać. Są to jego autorskie wynurzenia w nakreślonym życiorysie poprzedzającym felietony. Adwokatura w ten sposób straciła konfratry, a sądząc po Jego piórze byłby wspaniałym obrońcą karnym. Ja uznałem, że skoro system prawny i jego realizacja była groźna dla społeczeństwa,

należało się mu przeciwstawiać. Adwokatura była dobrą formą dla realizacji takiego założenia.

Felietony tego okresu przykładowo „146 skrytobójstw”, „Wywłaszczeni, przesładowani”, „Sam przeciw Ministerstwu”, „Zawód pod specjalnym nadzorem”, „Ostatnie słowo”. Szczególnie drastyczna jest historia Edwarda Wasilewskiego, pseudonim „Wichura” (którego *nota bene* osobiście poznałem), legendarnego dowódcy leśnego oddziału AK na Mazowszu, wyzwoliciela więźniów kolegów akowców z obozu w Rembertowie w 1945 r. Po amnestii dla akowców „Wichura” niezłamany, kawaler Orderu *Virtuti Militari* i Krzyża Walecznych, do końca niedługiego zresztą życia w PRL-u pisał porady „sercowe” w „Przyjaciółce”. Chleb *bene merentium* z łaski bezpieki, bo już po prostu w latach 60. „Wichury” zamordować nie wypadło.

Albo historia prokuratora (potem nawet profesora prawa), który swój talent prokuratorski (oskarżał przed Najwyższym Trybunałem Narodowym Fischera, Leista i Daumego – zbrodniarzy hitlerowskich, bywałem na tym procesie jako student) oddał w pacht komunistom. Opracował w 1946 r. szczególnie represyjny dekret, gdzie prawie za wszystko groziła kara śmierci – o odpowiedzialności za klęskę wrześnieńską i faszycję życia państwowego Polski Przedwrześnieńkiej. A co dostał w nagrodę? Paroletni wyrok skazujący za faszycję. Felietonista pisze: „Uznano, że kto przed wojną pełnił funkcję w prokuraturze, jak Mieczysław S., ten faszycyzował tym samym życie państwowe”. Perfidia do kwadratu, ale i swoiste ubeckie ponure poczucie sprawiedliwości. Pikanterii dodaje fakt, że w komplecie sądzącym oskarżonego Mieczysława S. orzekł jego dawny kolega – przedwojenny sędzia. Pan Mieczysław S. wpadł zatem we własną pułapkę, bo na dobitkę skonstruował akt prawny nie tylko morderczy, ale i sprzeczny z zasadą *lex retro non agit*. W taki oto sposób dyktatura proletariatu odczłowieczała ludzi.

Ten felieton to perełka ze sfery tzw. socjalistycznej moralności. Ale jest i drugi z tego okresu, który daje jakby świadectwo odwrotnym postawom. Przed sądem w 1949 r. za wygłaszanie antyustrojowych kazań staje ksiądz oskarżony z dekretu o ochronie wolności wyznania i sumienia. Sala nabita po brzegi aktywnym partyjnym i spędzonym *ad hoc* chłopstwem i robotnikami. Wezwany przez sędziego przewodniczącego do wygłoszenia ostatniego słowa, ksiądz wstał, wsparł się o balustradkę i mocnym głosem powiedział na całą salę: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Sala, częściowo wstając, odpowiedziała równie głośno i wyraźnie: „Na wieki wieków, amen”. I tu elegancko i dowcipnie pisze felietonista: „Nie doceniono skutków powszechnej katechezy i odruchów warunkowych prostego katolika, nawet zastraszonego, nawet ogłupionego propagandą”. Był to sukces homiletyki.

S. Podemski podejmuje szereg tematów, o których przypuszcza, że przysypane zostały popiołem niepamięci. O adwokacie Stanisławie Hejmowskim, porywającym mówcy z procesów sądowych Czerwca Poznańskiego z 1956 r., o nękanym dyscyplinarkami adwokatami opozycjonistach, Władysławie Siła-Nowickim, Janie Olszewskim, Witoldzie Lis-Olszewskim. Wiesławie Chrzanowskim, któremu przez

lata całe odmawiano prawa wpisu na listę adwokacką z powodu „niedawania rękami prawidłowego wykonywania zawodu”. A jednocześnie po Październiku 1956 r. masowo wprowadzono do adwokatury eksprokuratorów i sędziów stalinowskich z rękami, jak pisze felietonista, zabrudzonymi krwią.

Felietony II okresu „Pitavala PRL-u” to m.in. „O krok od szubienicy”, dotyczący bezmyślnego oskarżenia i skazania na karę śmierci Antoniego Wrony, autochtona, Mazura, pomyłonego z polakożerczym żandarmem Wronną. Proces Wrony był szlagierem sądowym lat 60., broniła m.in. w tym postępowaniu niezapomniana adw. Antonina Grabowska („Tosia”, znana w środowisku młodzieży aplikanckiej jako opiekunka ich interesów). Proces ten pasjonował całą ówczesną prawniczą Warszawę. Skończył się na szczęście uniewinnieniem Wrony przed Sądem Najwyższym.

Szczególnie haniebne było dyspozycyjne sądownictwo tamtych lat i proces Janusza Szpotańskiego za ironiczny tekst, operetkę na Gomułkę „Cisi i gęgacze”. Tekst wszedł do kanonu polskiej literatury politycznej, ale autorowi przysporzył kilku lat więzienia. Bronili adwokaci opozycyjni, jak się wówczas mówiło, Władysław Siła-Nowicki i Jan Olszewski. Inny felieton z tej serii „Pitavala” to „Oskarżony Czczot”, gdzie znów bronili sztandarowi adwokaci opozycji, Jan Olszewski i Stanisław Szczuka. Adw. Szczuka występował w głośnych procesach PRL-u od wczesnych lat 60. Okres ten i występujący w nim adwokaci zasługują na odrębny pitaval. Pamiętam lekturę z tamtych czasów paryskiej „Kultury”, prezentującej wystąpienia m.in. adw. adw. Tadeusza de Viriona, Stanisława Szczuki.

Nie można nie odnotować wspomnieniowego felietonu „On rejestrował Solidarność”, o sędzim SN Witoldzie Formańskim i jego kolegach sędziach SN Stanisławie Rejmanie i Tadeuszu Szymańskim. Felietonista pisze, że są już zupełnie zapomniani. Przed kilku laty napisałem do „Palestry” recenzję książki sędziego S. Formańskiego i wszystkich okoliczności towarzyszących temu historycznemu wydarzeniu. „Palestra” (pismo) i polska adwokatura nigdy nie zapomną wybitnych sędziów, którzy w przełomowych momentach naszej historii zawsze orzekali zgodnie z prawem i sumieniem. W felietonach Podemskiego rozrzucone są w różnych miejscach zbioru rozważania publicystyczno-prawne przeróżnych zagadnień materialnoprocesowych z dziedziny prawa karnego, przewijających się przez procesy tamtego okresu. Przypominam sobie z procesu radia „Solidarność” dywagacje, w których wzięli udział zarówno oskarżeni, jak ich obrońcy, na temat pojęcia intelektualnego, co to jest fałszywa wiadomość szkodząca interesom państwa. Radiu „Solidarność” zarzucano szerzenie nieprawdziwych wiadomości, podczas gdy obrona podnosiła, do jakich finalnych konsekwencji powinno doprowadzić stwierdzenie, gdy wiadomość jest prawdziwa. Dotyczyło to wiadomości o znarkotyzowanych oddziałach ZOMO, atakujących demonstrantów na ulicach Warszawy. W procesie zapadły wówczas skazujące wyroki, które już w Polsce niepodległej zostały orzeczeniem Sądu Najwyższego unieważnione, o ile pomnę.

Felietony niosą również, mimo obecnej w ich treści tragedii i krzywdy podsąd-

nych, spory ładunek humoru. Można tu wskazać „Łóżko w Tel Awiwie” czy „Przyzwóity, ale głupi”. Autor przedstawia surową ocenę stanu więziennictwa w PRL. Myślę, że i dzisiejsze więziennictwo niewiele się od tamtych czasów polepszyło. Może klimat wychowawczy, rygory są inne, ale warunki socjalne nadal beznadziejne.

Znamienne są wypowiedzi autora dotyczące sędziów dyspozycyjnych ówczesnego okresu („Sędzia na usługach”). Felietonista stawia tylko pytania. Kim byli ci sędziowie, ilu ich było, czy kierowali się strachem przed utratą stanowiska, żądzą kariery, totalitarnym światopoglądem. W Warszawie było takich sędziów, jego zdaniem, nie więcej niż dziesięciu. Niektórych z nich nazywa sądową menażerią. Wyrokowali nie tylko w sprawach politycznych, ale i kryminalnych. Dodam, że o niektórych mówiono, iż mają swoje cmentarze podsądnych skazanych na śmierć. Żeby nie przeciążać tekstu nadmiarem informacji o opublikowanych felietonach, wspomnę już tylko o procesie w stanie wojennym adw. Macieja Bednarkiewicza, pełnomocnika rodziny Grzegorza Przemyska, któremu za rzetelne, odważne prowadzenie sprawy postawiono nieprawdziwe zarzuty mactwa w śledztwie. Adw. Maciej Bednarkiewicz, pierwszy Prezes NRA już w Polsce suwerennej, oparł się wszelkim prowokacjom procesowym, przesiedział 6 miesięcy w areszcie tymczasowym, „skorzystał” z amnestii, podobnie jak i interweniujący na jego rzecz adw. W. Siła-Nowicki. Z prawdziwą satysfakcją wspominam wieloletni okres pracy w Prezydium NRA z adw. Maciejem Bednarkiewiczem.

Nie zaryzykuję wiele, gdy stwierdzę, iż w zbiorze felietonów S. Podemskiego zawarty został swoisty obraz PRL-u w pigułce. Czy kompletny? Zapewne nie. I nie sądzę, by Autor nosił się z takim zamysłem. Pozostawił duże obszary do zagospodarowania w innych pitavalach tego okresu. Wskazać by tu można choćby tragiczny obraz polskiego sądownictwa wojskowego, szczególnie w okresie po zdobyciu władzy przez obóz komunistyczny. Zetknąłem się w swojej praktyce z krótką przeraźliwie historią wyroku kary śmierci dla żołnierza AK za przynależność do tej formacji Wojska Polskiego. Rozprawa przed sądem polowym trwała niespełna 2 godziny, łącznie z naradą nad wyrokiem. Wykonano tę karę na ojcu maleńkiego dziecka, który był z przydziału służbowego pisarzem sztabowym, nie miał karabinu w ręku i nie oddał w wojnie żadnego strzału. Zaprzysiężony został w AK, gdzieś w Rzeszowskiem, na parę miesięcy przed wkroczeniem Sowietów na tamte tereny. Akta tego żołnierza, tak zbrodniczo osądzonego i ukaranego, składały się z kilkunastu kartek, może 20 na bibułkowym papierze, *nota bene* sporządzone były przez rosyjskiego *sledowatiela* wojskowego w języku rosyjskim i nietłumaczone na polski. „Proces Józefa K.” Kafki, senne majaki schizofreniczne na temat totalitarnego sądu, to szczyt praworządności przy tym, co zrobił polskiemu patriocie polski sąd wojskowy w 1944 r. Dla takich to spraw należałoby opracować solidny pitaval, po przekopaniu się przez archiwa wojskowe. Może się jeszcze zachowały. Jedne z takich akt parę lat temu miałem w rękach.

Felietony Stanisława Podemskiego, nie ukrywam, wywołały u mnie wiele wspomnień z własnego, adwokackiego „pamięciowego pitavala”. Spotkałem na tej drodze różnych sędziów, ale wielu, bardzo wielu, znakomitych. Nie sposób jest wyliczyć tych zaangażowanych w dobre, przykładowe sądownictwo. Z ogromną wdzięcznością ich wszystkich pamiętam, stwarzali świetną atmosferę na salach sądowych, gdzie z powagą, ale swobodnie, wszyscy uczestnicy procesu mogli przedstawiać swoje racje. Sędziowie ci, nawet w tych etapach Polski Ludowej, które oceniamy zdecydowanie negatywnie, sądzili odważnie, ryzykując czasami karierę.

Pamiętam swoje obrony w tzw. sprawach „krzyżowych” w sądzie, przed którym często występowałem w końcu lat 50. Procesy były wynikiem akcji zorganizowanej w celu zdejmowania „symboli religijnych” (krzyże) ze ścian sal szkolnych. Urzędnik państwowy przyjeżdżał do szkoły i zdejmował krzyże ze ścian, bo nauczyciele się tego na ogół nie podejmowali. Wtedy na tę salę masowo wkraczały matki dzieci szkolnych i krzyże ponownie zawieszały. Powstawał przy tym nieopisany zamęt i potem istotnie nie wiadomo było, kto te „symbole religijne” zawieszał. obrońcą miał rolę wyjątkowo łatwą, bowiem gdy nikt nie mógł osobie „wytypowanej” na oskarżoną przypisać zawieszenia „symbolu”, trzeba ją było uniewinnić. I sędzia Jadwiga Piasecka, odważna łączniczka AK z Powstania Warszawskiego, w około 30 tego typu procesach wydała wyroki uniewinniające. Ówczesny Prezes Sądu Wojewódzkiego, skądinąd człowiek mający przyzwoitą opinię, ale przymuszony zapewne przez partię, wezwał sędzię Jadwigę Piasecką na rozmowę, w wyniku której złożyła rezygnację z funkcji sędziego i z sądem się rozstała. Wkrótce, zgodnie ze złożoną obietnicą, pomógł jej przejść do adwokatury. Przez kilka dziesiątek lat, jako szanowany, odważny adwokat, wykonywała tę profesję.

Wielu z nas w pozbawionym suwerenności społeczeństwie tamtego okresu w adwokaturze znalazło swoją małą, wolną Ojczyznę.

I dlatego adwokaturę tak wysoko sobie teraz cenimy.